



WOŁANIE

Nr. 20 (24)

Kraków, listopad 1998

SPIS TREŚCI:

- | | |
|---|---------|
| 1. Absolutny rekord - <i>Krzysztof Kabat</i> | str. 4 |
| 2. RECENZJE | |
| Tatry Polskie | str. 12 |
| Recenzji Retro - ciąg dalszy | str. 14 |
| 3. Górami pisane: <i>Kazimierz Przerwa - Tetmajer</i> | |
| O Zwyrtałe Muzykancie | str. 16 |

Od maja 1987 roku ukazały się 24 zeszyty WOŁANIA

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział w Krakowie, Członek wspierający TOPR. **Adres dla korespondencji:** Andrzej Słota, 30 -150 Kraków, Armii Krajowej 83/131. **Telefony:** 638-01-54, 0602 62-53-03, **E mail:** slota @ tf.com.pl.

Lokal: Dom Kultury „Podgórze” ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 -19.³⁰.

Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.

Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162809-270-1-111

PTT, Oddział Kraków, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała: Zofia Nowak

Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Do druku oddano 6 listopada 1998

WOŁANIE

Biuletyn szkoleniowy

dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego
i członków wspierających TOPR

ABSOLUTNY REKORD

Pamiętam dobrze, to był 2 grudzień 1982. Około godziny 15 wjechałem autobusem do Kuźnic. Był prawie pusty, ze mną i kierowcą były tylko cztery osoby. Kiedy otworzyły się drzwi zabrałem się do wysiadania. Ale to nie było łatwe. Na plecach miałem spory wór pełen wałówek na tydzień pobytu w Murowańcu, no i śpiwór, ciepłe ciuchy, raki, czekan. Plecak wypchany po brzegi.

Z trudem dźwignąłem się z siedzenia i pomału szedłem po schodach. Wzrok od razu wyrzywa się ku szczytom. Wyjeżdżając z Ludźmierza wiedziałem, że czeka mnie zima. W nocy sypało bez przerwy. Trudno było przewidzieć, co zastanę w górach. Na razie wokoło podobnie jak pod Domem Podhalan, z tą różnicą że tu życie jakby zamarło. Nic się nie dzieje, ani tubylców, ani przyjezdnych. Pustka i cisza. Sklepy i restauracja nieczynne. Nie ma co czekać, trzeba ruszać w kierunku Boczania. Śnieg świeży, ale nie za wiele. Temperatura poniżej zera, tylko wiatr trochę niepokojący, tym bardziej, że układ chmur wróży dalsze opady.

Czas ruszać. Przede mną jakieś dwie godziny marszu, no - może przez ten ciężar na plecach trochę więcej. Jak zawsze na początku drogi szybko nabieram wysokości. Śnieg powyżej kostek, ale szlak jakby przeddeptany. Niewątpliwie ktoś tędy szedł - jakieś dwie, może trzy godziny temu. Pierwszy odcinek do rozwidlenia na Nosal i Boczań idzie gładko i sprawnie. Dalej, skręt w prawo w kierunku Boczania.

Idzie się znakomicie, chociaż śniegu jakby przybywało. Ślady pozwalają utrzymać nadal niezłe tempo. Docieram do kolejnego zakrętu. Tutaj rozpoczyna się właściwa historia.

Wychodząc z lasu słyszę nagle:

- Dzień dobry!

Zaskoczony, ale wyraźnie zadowolony, że nie jestem sam odpowiadam:

- Witajcie.

Zobaczyłem odpoczywającego mężczyznę i dziewczynkę. Jak się później okazało - Andrzeja z dwunastoletnią córką.

- Dokąd to - zapytałem zaskoczony, widząc ich wielgachne plecaki i dwie pary nart.

- Idziemy do Murowańca. Przyjechaliśmy z córką z Poznania na kurs narciarski.

- To ja zatrzymam się i dalej pójdziemy razem.

W odpowiedzi usłyszałem, żebym nie tracił czasu i wyruszył przed nimi. Drogą już przetorowaną pójdzie się im lepiej i szybciej.

- Świetnie - odpowiadam, niech tak będzie. A zresztą jak będzie ciężko, to i tak mnie dojdziecie.

- Oczywiście. Proszę się nami nie przejmować. Ja od wielu lat znam ten szlak bardzo dobrze - odparł nieznajomy.

Tak więc nie czekając już na nic, ruszam dalej. Oddech spokojniejszy, wyrównany. Tylko śniegu coraz więcej. Świeże ślady już się skończyły, choć daje się zauważyć stare, ale niemal całkowicie już zasypane. Torując nową drogę posuwam się do przodu. Śnieg sięga już połowy łydek, a z góry sypie świeży. Widoczność spada, robi się nieprzyjemnie. Wiatr w porywach coraz silniejszy.

Idę dalej, chociaż zdecydowanie wolniej. Na ostatnim podejściu, na granicy lasu robi się już nieciekawie. Cóż - nie będę wracał, w końcu nic się takiego strasznego jeszcze nie dzieje. Ubrany jestem ciepło, drogę znam, trzeba tylko iść dalej. Gorzej, że widoczność spada, a na zegarku dochodzi już 17. Nadal trzymam się ledwo dostrzegalnych śladów przede mną. W połowie Uplazu i one znikają zupełnie. Wokół zupełnie szaro, a właściwie - ciemno. W uszach wiatr gra coraz mocniej, a własny oddech staje się coraz cięższy. Czas odetchnąć.

Nagle parę kroków przede mną wyrosła spora górką. Coś na kształt zasy, sztuczny kopiec, pokryty dokładnie śniegiem. Obok stoją ubrane w elegancki pokrowiec narty. Obok niego wielki wór. Moje zdziwienie i zaskoczenie jest ogromne.

- ???

„Kopiec” nagle się poruszył i gramoli się z niego mężczyzna.

- Skąd ty tutaj, co się stało? - pytam.

Po przetarciu oczu zasypanych śniegiem wydusił z siebie:

- Czy pan idzie do Murowańca?

- Oczywiście, gdzie w taką pogodę można stąd iść?

- Straciłem orientację, wołałem więc nie ruszać się i poczekać na kogoś.

- Jak długo tutaj już siedzisz?

- A która jest godzina?

- Już po piątej.

- Jestem tutaj ze trzy godziny...

- To nieźle, najwyższa pora ruszyć dalej. Do Murowańca jeszcze kawał drogi.

Dookoła nas już prawie mleko. Oglądam się za siebie i dostrzegam zbliżające się do nas dwie sylwetki. To chyba Andrzej z córką, których wyprzedziłem wcześniej. Nad nimi w oddali, przez sypiący coraz gęściej śnieg, widać jeszcze leciuteńką lunę świateł Zakopanego. Tak właściwie to bardziej wyczuwalną, niż widoczną.

- No to zbierajmy się, czas ruszać.

Pomagam mu zarzucić plecak. Daje się zauważyć, że z nim nie jest najlepiej. W jego zszokowanym spojrzeniu w czasie powitania, kryła się nie tylko dezorientacja i strach, ale spore zmęczenie i rezygnacja.

Myślę sobie - nie będzie lekko. A do tego jeszcze plecak i narty. Te ostatnie chyba muszę mu pomóc nieść, gdyż on nie jest w stanie je podnieść. Ostatecznie łapiemy za nie razem na obydwu końcach i ruszamy w drogę. Andrzej z córką dochodzą do nas, więc idziemy we czwórkę.

Jako pierwszy toruję drogę. A jest co robić, gdyż śnieg sięga już powyżej kolan. W takim świeżym puchu każdy krok i - zapadam się. Kolejny krok i znów to samo. Robi się coraz trudniej. Wór na plecach ważący conajmniej 20 kilogramów wciska jeszcze głębiej. Posuwamy się zdecydowanie wolniej.

Dochodzimy w końcu w okolice Królowej Kopy. Krótki odpoczynek i narada. Jest już ciemno. Dalsze posuwanie się ścieżką wydaje się zbyt niebezpieczne. Głębokość śniegu dochodzi miejscami do metra. Nad Jaworzynką bardzo zdradliwe nawisy. Nie można ryzykować przejście normalną ścieżką, gdyż w każdej chwili z całą tą masą luźnego puchu można się znaleźć na dnie doliny.

- Proponuję ruszyć górą, przez szczyt Kopy. Jest nieco dalej, ale bezpieczniej.

Nikt nie protestuje. Jedynie dziewczynka odczuwając zmęczenie i strach (a wokół nas wygląda naprawdę nieciekawie) zaczyna popłakiwać i trząść się. Wiedzieliśmy dobrze, że to nie z zimna. Jest przerażona zaistniałą sytuacją. Dla uspokojenia nakładam na nią mój zapasowy swetr i kurtkę.

Ruszamy więc w górę. Teraz prowadzi Andrzej, z dwoma plecakami i dwoma parami nart. Córeczka idzie za nim pochlipując. Skąd on brał tyle sił - do dzisiaj nie wiem? Trzeci w kolejności Zenek z Gdańska, no i ja związany z nim jego nartami. Coraz wyżej i głębiej w śniegu. Pod samym szczytem kopany przez nas korytarz sięgał już pasa. Robi się bardzo zimno, ciemno i końca drogi nie widać. Niewielką ulgę przynosi zejście w dół, a potem mały odpoczynek i chwila zastanowienia.

- Moim zdaniem - stwierdzam, próba pójścia dalej jest zbyt niebezpieczna.

- Dlaczego?- pyta Zenek.

- Popatrz przed siebie. Czy widzisz cokolwiek, jakieś punkty orientacyjne?

- Żadnych.

- A co zrobimy, jak kopiąc się w tym „dziadostwie” dopchamy się na sam dół? Wystarczy ci sił na powrót?

- Bezpieczniej będzie trzymać się prawej ręki, trawersując nieco zbocze, które powinno nas wyprowadzić pod Kopę Magury - wtrąca Andrzej - stąd będzie już tylko w dół do Hali.

- Tak, zgadzam się - dopowiadał i zaczynam prowadzić.

Rzut oka na zegarek - jest już po 19-tej. Ruszamy w odwrotnej kolejności. Zaczynam kopać, krok za krokiem. Ciężar na plecach przygniata już do ziemi. I jeszcze te paskudne narty. Dlaczego mam je dźwigać, wiruje mi już w głowie, po co się tak poświęcać dla jakichś desek? A może wogóle skończyć z tą mordęgą, wyjąć śpiwór i przekiblować do rana. Nogi mdleją mi już po kilku metrach kopania. Staję i proszę o zmianę. Tym razem honorowo wychodzi na prowadzenie Zenek. Chyba zaciął zęby, gdyż wygląda już na solidnie wycieńczonego. Zresztą chyba my wszyscy podobnie wyglądamy.

Zanim jednak wyruszył nieśmiało zaproponowałem, aby zostawić tu wszystkie narty. W odpowiedzi usłyszałem nieco z oburzeniem, nieco z błaganiem:

- Nie mogę! To są nowiuteńkie Salomony, dopiero co przywiezione za Stanów. Musimy je donieść.

- Tylko czy za wszelką cenę? - pytam.

Milczy, ruszamy dalej. Nagle zaczęło się najgorsze, czego nikt nie był w stanie przewidzieć. Zenek jako pierwszy wpada w śnieg po same pachy. Próbuje coś wołać, ale jestem od razu przy nim. Łapię go i zaczynam ciągnąć. Z ogromnym wysiłkiem wygrzebuje się na powierzchnię. Jak się za chwilę okaże po to, by po paru krokach znowu wpaść.

- Co się stało?- woła z tyłu Andrzej.

- No właśnie, co to było?

Oglądamy pozostałą po Zenku dziurę. Okazało się, że nawet nie wiedząc kiedy weszliśmy na pole kosówki. Tyle, że jesteśmy na jej powierzchni. I co dalej? Ominąć jej się nie da, no bo wokoło nic nie widać. Możemy tylko iść dalej.

Zmieniam go, prowadzę powoli i ostrożnie. Jeden krok, drugi. Po trzecim lekka ulga i odprężenie. Kiedy postawiłem nogę kolejny raz, tym ja wpadłem w śnieg. Czuję jak wór na plecach wpychał mnie na sam dół. Słabość organizmu w połączeniu z tym nieprzyjemnym zaskoczeniem odebrała resztę sił. Stoję prawie po pachy w śniegu, nogi między gałęziami i próbuję zebrać siły na wyjście z pułapki. Tym razem pomaga mi Zenek. Ochłonawszy nieco zauważam o kilka kroków od nas dwa nieduże drzewka. Decyzję podjąłem błyskawicznie.

- Musimy pod tymi drzewkami zostawić narty. Ratujmy skórę, a po narty można rano wrócić. Ja już nie mogę i nie ma zamiaru torturować się tymi dechami.

- Słusznie - wtrąca Andrzej, zdając sobie sprawę z sytuacji. Jest godzina 20, naokoło ciemności, śnieg ciągle sypie i do tego zimny wiatr. A my poruszamy się resztkami sił. Jego córeczka zszokowana zupełnie płacze i dygocze.

- Zostawiamy - z rezygnacją w głosie odpowiedział Zenek. Było mu już wszystko jedno, bo tak naprawdę - to on był w najgorszym stanie. Przy kolejnych wpadkach pomiędzy gałęzie wyciągaliśmy go już we dwóch. Posuwamy się już prawie niezauważalnym tempem.

- Czy macie śpiwory?- rzucam nagle za siebie.

- Nie mamy - usłyszałem w odpowiedzi.

- Ale mam butelkę „Napoleona”, pomyślcie więc co was czeka na miejscu.

Ten argument zabrzmiał jak najlepszy dowcip. Być może nieco nas nawet ożywił. Tylko, gdzie to schronisko? Pytanie bez odpowiedzi. Czuję już, jak za każdym niemal upadkiem omdlewam. Na szczęście tuż obok są przyjaciele. Tak właśnie, na ten czas dane nam było stać się niezwykle związanymi i zależnymi od siebie przyjaciółmi.

I nagle staję na krawędzi: po prawej stronie ledwo dostrzegalny cień Kopy Magury, a w dole, jakby w innym świecie rozlegała przestrzeń.

Znacznie tu pogodniej i jaśniej, a w oddali, ach tak! To chyba światła Murowańca. Jak marynarz na bocianim gnieździe wołam do reszty:

- Widzę światła! To Murowaniec!

Cisza za mną świadczyła, że mi nie wierzą. Wszyscy byli ogromnie wycieńczeni. Powoli, okrutnie dysząc stajemy w komplecie, aby upewnić się, że to prawda. Wyraźnie widać dwa, może trzy światelka. W momencie, kiedy i Andrzej potwierdził moje rozpoznanie, jego córeczka odzyskała równowagę i siły. Zaczęła nagle, nie bacząc na niebezpieczeństwo zbiegać w dół. Andrzej ruszył natychmiast za nią. A niebezpieczeństwo rzeczywiście jeszcze nie minęło. Śnieg nadal powyżej kolan, krzaki kosówki całkowicie przysypane, przejmujące zimno, no i te ciemności. Oczywiście na szukanie latarki w przepelnionym plecaku nikogo stać nie było.

Po chwili i my z Zenkiem ruszamy. Mimo, że myślami już jesteśmy na dole, to wiemy że ten ostatni odcinek będzie wymagał od nas ogromnego wysiłku. Pomalutku i ostrożnie opuszczamy się coraz bliżej hali. W końcu wyrasta przed nami „betlejemka”. Ludzi nie widać, ciemność, ale wiemy że to już niedaleko.

- Zeniu, odetchnij chwilę, ja muszę na stronę - wykrztusiłem z siebie.

Zrzucam z obolałych i sztywnych pleców mój plecak, zostawiam w śniegu i odchodzę na boczek. Kiedy już wracam, czuję autentyczne „załamanie”. Staję przy moim worze i z głęboką rezygnacją oświadczam mojemu towarzyszowi:

- Ja tu zostaję. Nigdzie już nie idę. Mam śpiwór i przekibluję tutaj do rana. Nie zrobię już ani jednego kroku więcej. Idź sam.

- Cholera jasna, ja ci zaraz pokażę kiblowanie - wydarł się Zenek.

- Zostało nam 200 metrów do schroniska, do ciepłej chałupy!

Energicznie łapie mój plecak i zanim się połapałem co on zamierza, miałem go już na plecach. Od tej pory na całe życie zapamiętałem reakcję mego organizmu, niezależną zupełnie od mojej woli i zdrowego rozsądku. Zwolnienie grzbietu od 20 kilogramowego ciężaru, przy głębokim zmęczeniu całego organizmu było największym błędem tego dnia który, mógł się nieprzyjemnie zakończyć. Wychłodzenie tak wymęczonego organizmu nastąpiłoby błyskawicznie i nie pomogłyby śpiwory, ani puchy.

Startuję więc, jak z katapulty do ostatniego desperackiego skoku. Po 10 minutach docieram do schroniskowego wejścia. Jak się później okazało mój towarzysz został za mną na tym krótkim odcinku jeszcze 10 minut.

Sięgając po resztki zdrowego rozsądku wkraczam na salę jadalną. Musiałem wyglądać upiornie, zwłaszcza z bryłą lodu zamiast brody. Dość, że siedzący pod oknem w licznej grupie ratownicy GOPR jak na komendę podnieśli głowy znad swych talerzy. Na wprost mnie przy stole też rozsiadła się grupka, jak się potem okazało młodych taterników. Widząc mnie od razu skojarzyli z Andrzejem, który dotarł tu chwilę wcześniej i powiadomił ratowników, że w górze jeszcze dwóch „walczy”.

- Twój kolega poszedł na górę zając pokój - rzucił któryś w moja stronę. W milczeniu więc ruszyłem na piętro do recepcji. Tu oczywiście zderzenie z bezduszną i bezrozumną biurokracją. Młody recepcjonista widząc przed sobą padającego niemal „yeti”, zamiast dać mi spokój i odstawić do pokoju, bym mógł przyjść do siebie, ze stoickim spokojem i kamiennym spojrzeniem oświadczył:

- Proszę dowód osobisty.

Myślałem, że mnie rozerwie wściekłość. Zagotowałem wewnętrznie i wyrzuciłem z siebie całą złość, a on nic. On chce mój dowód.

Jego nie interesuje mój stan, on musi mnie zameldować, bo wiem rano mogę mu nawiać. Zwłaszcza, że przyjechałem na całotygodniowy pobyt. Koniec w końcu, kiedy Zenio dotarł już na górę, ja pozbywałem się już ciężaru z pleców. On zrobił to samo i nie czekając zeszedł na jadalnię. Jedynym naszym marze-

niem była herbata. Wlać w siebie litry herbaty! Dosiadamy się do grupki taterników i proszę, aby załatwili nam cały gar. A tu kolejny szok:

- Możemy was ugościć naszym prowiantem, bo kuchnia czynna tylko do 21, a jest już 10 minut po.

- Jak to, nie dostaniemy nic do picia, po takiej koszarnej drodze?

- Niestety kierownik poszedł już na górę.

W tym momencie dostrzegłem, że siedzący obok mnie młodzian pod rozpiętą koszulą flanelową ma podkoszulkę z dużym czerwonym napisem „Solidarność”. Zwracam się więc do niego:

- Jak to, w takiej koszulce nie załatwisz nam herbaty? Spróbuj proszę.

Ten - przy chóralnym śmiechu pozostałych niewiele się namyślając podniósł, się zrzuci koszulę i wybiega na górę do kierownika. Po krótkiej chwili schodzą obaj, a po następnej przed nami na stole stoi już parujący sagan. Byliśmy uratowani. Po między kolejnymi kubkami wrzątku, opowiadamy dość chaotycznie naszą drogę. Kiedy wspomniałem im, że wyszedłem z Kuźnic ok. 15, no a dotarłem do Murowańca po 21, byli mocno zdziwieni. Okazało się jednak, że Andrzej z córeczką, która zresztą już mocno spała, przeszła tę drogę w 9 godzin. Absolutnym rekordzistą okazał się jednak Zenek, któremu nasza droga zajęła równo 12 godzin. Myślę, że warto to jeszcze raz podkreślić: z Kuźnic do Murowańca w 12 godzin - to absolutny rekord.

Po niecałej godzinie, kiedy garnek został opróżniony, poprosiliśmy jeszcze naszych dobroczyńców, aby udali się rano po nasze narty. My zapewne do obiadu nie ruszymy się nigdzie. Wracając już do pokoju wstąpiliśmy jeszcze na obiecany mały koniaczek, po którym byliśmy już gotowi tylko do snu.

Krzysztof Kabat



RECENZJE

Tatry Polskie

Firma Albion wydała niedawno krążek CD zatytułowany „Tatry Polskie”. Jak wszystkie wydawnictwa multimedialne pozycja ta jest kompilacją gatunków, lecz w głównej mierze „Tatry Polskie” są informatorem o Zakopanem i Tatrach.

Ze względów tematycznych wydawnictwo podzielono na kilka grup. Podstawową z nich to INFORMACJE OGÓLNE, w której umieszczono główne zagadnienia związane z Zakopanem, czyli wszystko o historii, wyżywieniu, komunikacji masowej po okolicy, gastronomii, możliwościach zakwaterowania i różnych ciekawych miejscach. Prawie dokładnie to, co wydrukowane jest na odwrotnej stronie każdego, klasycznego planu miasta, tyle że tu - w bardzo szerokim zakresie. Tak na pierwszy rzut oka informacje są aktualne, co w dobie ciągłych zmian jest bardzo ważne.

Wiele miejsca poświęcono samym Tatom, ich budowie, przyrodzie, turystyce (również taternictwie) i całemu zagadnieniu związanemu z Tatrzańskim Parkiem Narodowym. Po historii regionu (9 stron) turystyka plasuje się na drugim miejscu po względem rozmiaru (7 stron).

Informacje prezentowane są na stronicach, na których oprócz tekstu zamieszczono liczne grafiki związane z tematem, oraz zdjęcia. Zdjęcia te można powiększać do rozmiarów pocztówki, a na niektórych (panoramy) za pomocą jednego kliknięcia myszy można wywołać opis.

Oprócz tego czytając tekst można klikając po umieszczonych tu i ówdzie odsyłaczach zgłębiać zagadnienie, w przypadku gdy temat jest obszerny i zajął się z innymi - pokrewnymi.

Wiele miejsca poświęcono kulturze góralskiej. Nie omieszkało poinformować o licznych muzeach i wystawach, wielu miejscach związanych ze sławnymi ludźmi mających powiązania z regionem. Szkoda też, że nie ma wzmianki o świetnej regionalnej karczynie, którą jest BĄKOWO ZOHYLINA, przy ul. Piłsudskiego.

Ponieważ program jest multimedialny - zawiera muzykę. Posiadacze kart dźwiękowych zapoznają się z obszernymi fragmen-

tami nut góralskich. Wybór jest duży; od nut Janosikowych, przez zalotne, weselne - do Sabalowych, zbójnickich i krzesanych. Smaku dodają gawędy, których jest pięć.

W „Tatrach Polskich” umieszczono liczne zdjęcia. Jest ich ok. pięćset. Ta ilość mogłaby być porównywana z albumem fotograficznym, lecz niestety - duża ich część jest niedoskonałej jakości i nie dorównuje klasycznym, książkowym wydawnictwom albumowym, choć w dobie postępu cyfrowego zapisu zdjęć już dziś można osiągnąć przyzwoitą jakość. Niska rozdzielczość (640x480, lub mniejsza) sprawia, że zdjęcie jest małe i nie zajmuje całego ekranu. Autorzy nie przewidzieli, że ktoś kto dziś korzysta z multimedialnych dawno już zrezygnował z karty VGA, która kiedyś była w powszechnym użytku. Odpowiednia obróbka w standardzie SVGA (czyli minimum 800x600) pozwoliłaby tak dobrać format zdjęć, by długość każdego pliku była niższa niż 100 KB, a co idzie za tym - łączna ich długość byłaby o wiele mniejsza niż 126 MB.

Najgorsze są zdjęcia zimowe z samego Zakopanego, na których wszystko jest jakieś szare i brudne. Być może kiepski dobór fotografii o tym zdecydował, albo same zdjęcia robiono w wielkim pośpiechu.

Panoramy z Tatr też pozostawiają wiele do życzenia. Wszystko wskazuje na to, że przy fotografowaniu nie korzystano z odpowiednich filtrów (np. UV, Skylight), lub po zeskanowaniu nie przeprowadzono drobnej korekty, która zniwelowałaby niebieskie przebarwienia, bez naruszenia ingerencji w odpowiedni balans kolorów, oczywiście przy zachowaniu ich naturalności.

Bardzo złej jakości są filmy video trwające zaledwie kilka sekund. W trybie „okienkowym” niewiele widać na ekranie. Filmy kręcone są „z ręki”, przez co obraz skacze i kiwa się na boki. Poza tym zbyt szybkie najazdy i odjazdy nie dają czasu by skupić się na kadrze. Większość filmów nakręcono przy niesprzyjającej pogodzie, przez co obraz jest ciemny i ponury.

Nieciekawa też jest podróż w Wirtualne Tatry. Widok „z lotu ptaka” nie oddaje zbliżonego do prawdziwego obrazu na Tatry, a zbyt szybka animacja nie pozwala znaleźć charakterystyczne miejsca dla tych kilku przykładowych dolin nawet wybitnym

znawcom tematu. A jak ma zrozumieć przekaz ten, który Tatry zna tylko z opowiadań?

„Tatry Polskie” nie są przewodnikiem. Nie pozwoliła na to pojemność płyty kompaktowej, choć i tu można by się spierać. Jest wprawdzie opcja, która rysuje na pokazanej mapie przebieg danej ścieżki, lecz nawet dokładne jej przestudiowanie, wraz z diagramem (który ukazuje pionowy przebieg) nie daje informacji o danym miejscu.

Nie obyło się bez błędów. Można tolerować pomylenie kolejności stawów tatrzańskich widzianych z Rysów (na zdjęciu opisano, że Czarny Staw, to ten leżący dalej), lecz niedopuszczalny jest opis zdjęcia - „Schronisko na Kondratowej - w tle masyw Giewontu” - bo wiadomo, że to tło, to Kopa Kondracka.

Opcja przeszukiwania (ABC) też pozostawia wiele do życzenia. Nie zapamiętuje ostatniej pozycji. W wyniku czego w przypadku niepowodzenia użytkownik jest zmuszony zaczynać od początku, czyli od „apteki”, która to jest pierwsza w kolejności (przy zaznaczonej programowo opcji „wszystko”).

Mimo wszystko wydawnictwo bardzo przyda się tym, którzy z Tatrami i Zakopanem jak dotąd stykali się sporadycznie, lub wcale. Na pewno wiele się dowiedzą o tej ziemi i jej historii.

Miejmy nadzieję, że kolejna edycja multimedialnego wydawnictwa GÓRY POLSKIE - TATRY będzie lepsza i staranniej zrobiona. Koneserzy tematu „Tatry”, których jest przecież nie mało - byłiby usatysfakcjonowani.

Andrzej Słota

Recenzji retro - ciąg dalszy.

Faktem jest, że na naszym rynku wydawniczym coraz więcej pojawia się pozycji książkowych, które w formie wznowienia, lub choćby reprintu, dają możliwość zapoznania się z wydawnictwami lat dawnych. Wszystko wskazuje na to, że wracamy do korzeni. Może to tęsknota za tym co już było, a może nostalgia? Nie wiadomo.

Tym razem wszystkim miłośnikom starej książki polecić chcę pozycję, która jest częścią przedwojennego cyklu zatytułowanego CUDA POLSKI. W kilkunastu odrębnych tomach opisywano w nich rejony naszej Ojczyzny, które w swej kulturze, zabytkach i unikalnej przyrodzie trwale wpisały się w dzieje Polski.

TATRY I PODHALE - taki tytuł nosi książka, która po raz pierwszy wydana została w roku 1935 przez Wydawnictwo Polskie R. Wegner w Poznaniu. Autorem jest Rafał Malczewski¹.

Autor zwięźle i rzeczowo przedstawia całą podtatrzańską krainę w sposób tak wyczerpujący, że po lekturze nie trzeba sięgać do innych źródeł, których oczywiście jest bez liku, bowiem publikacje o temacie Tatry i Podhale pojawiają się odkąd Gutenberg wynalazł druk. Można rzec, że w książce znajduje się sama esencja. W poszczególnych rozdziałach opisano dzieje, kulturę, życie i zmagania górali, poczynając od wieków najdawniejszych, aż do okresu, kiedy po odkryciu przez Tytusa Chałubińskiego Zakopane stało się wrotami do Tatr. Uwagę zwraca język, który pasuje raczej do literatury pięknej niż do opracowania, lub monografii.

Na zamieszczonych licznych fotografiach oglądać można stare, przedwojenne Zakopane, oraz Tatry, których dziś już nie ma.

Książkę polecam wszystkim miłośnikom gór, szczególnie tym którym Podhale i Tatry są szczególnie bliskie. Trudno napisać coś więcej. Trzeba ją po prostu przeczytać.

TATRY I PODHALE Rafała Malczewskiego powtórnie wydało Wydawnictwo Tadeusza Radjusza „Gutenberg Print” w roku 1995. Są dostępne w księgarniach.

Andrzej Słota

¹ Rafał Malczewski (1892-1965) syn malarza Jacka Malczewskiego. Znany taternik i narciarz. Studiując w Wiedniu w latach 1910-15 uprawiał narciarstwo wysokogórskie w Alpach. Aktywnie działał w Tatrach do 1917, aż do wypadku na Zamarłej, gdy zginął jego towarzysz - Stanisław Bronikowski. Od 1918 członkiem TOPR. Autor licznych artykułów i felietonów o tematyce tatr. i zakopiańskiej.

Górami pisane

Kazimierz Przerwa Tetmajer - O Zwyrtałe muzykancie

Umarł stary Zwyrtała i dusza jego wybrała się do nieba, z bausami na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą.

Patrzy: zamknięte.

Myśli se: Burzył po dźwierzak nie bees, bo śpiom. Siadł na słupek popod bramą, siedzi, ale mu się ukotwiło wnet, wyjął skrzypce spod pazuchy, przycisnął zębami kołki, brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię, pociągnął smyczkiem. Zrazu cichutko, bo bał się obudzić, ale się zagrał, przycisnął mocniej. A jak sobie przygrał, wspomniał sobie babę, co ostała na ziemi, a jak sobie babę wspomniał, zaraz zaśpiewał:

Bodaj się świeciła kawalérska strona!

Kany się obeżrem wsędył moja zona...

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał zza bramy:

- Któż tam?

- Świnty Pieter - pomyślał Zwyrtała, ale odpowiedział śmiało, bo za cysarki Tereski rajtary go do kirasjeruk zabrały i dwenast rók hań służel:

- Jo!

- Jaki „jo”?

- Zwyrtała.

- Czego się drzesz?

- Nie drem się nijako, jinok śpiewał.

- Bodaj cie diab! - (urwało się) - z takim śpiewaniem!

- A coś tak późno przyszedł?

- Jedżek ta cosi unieskorzél, alejek dopiéro pod odwiecerz umar.

- Pod wieczór? Toś dopiero w pół drogi powinien być!

- He świnty Pietrze, jo wartki górol.

- A skądżeś ty?

- Z gór.

- Od Nowego Targu?
 - Haj.
 - A z jakiej wsi?
 - E hoć wam powiem, to i tak nie beecie wiedzieć. Co to hań znocie?
 - Ja wszystko znam. Skądżeś?
 - Z Muru.
 - Jako cię to piszą?
 - Galica Maciek.
 - A jak cie wołają?
 - Zwyrtała.
 - A jak się do was nazywa?
 - Do Sęcka.
 - No to siedźże tam, Sęcku, nim się zrobi dzień. A nie trza hałasować!
 - Nie bedem. Miéjcie dobrom noc!
 - No, no! A cicho!
- Usiedział chwilę cichutko Maciek Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato, znowu przybrząknął na skrzypcach.
- A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia znad bramy.
Aniołki.
- Isz, isz - powiada jeden - jak to ładnie gra!
- Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzączy ze wszystkich czterech na raz marsia:
- Hej Madziar pije, hej Madziar płaci!...
- Ach, jak ślicznie! Jak pięknie! - zawołały aniołki. Co to za muzyka taka?
 - To ze zbójeckiego.
 - Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! - zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. - Ach! Jak ślicznie!

- Wtem klucz zazgrzypiał w zamku, brama się otwarła; klucznik niebieski, święty Piotr, w niej stanął.
- Zwyrtała!
 - Haw!
 - Pójdź! - Do nieba nie trza pytać!
- Ale się w mig rozniosło po niebie, że przyszedł góral, co gra. I doniosło się do samego Pana Boga, co rano wstawszy, przed gankiem siedział i fajkę palił. Nie robił nic, bo to była niedziela.
- I jeszcze Zwyrtały nie zakwaterowali, przyszedł anioł, ale już nie taki w białej koszulce z białymi skrzydłami, tylko duży w zbroi srebrnej i z mieczem z płomieniem u boku, a skrzydła miał tęczowe i powiada:
- Zwyrtała!
 - Haw!
 - Prawda to, że ty umiesz grać?
 - Prowda.
 - Zbójeckiego?
 - Haj.
 - Zagrałbyś?
 - Ze cemuzbyk ni miał zagrać? Przed Kim?
 - Przed Panem Bogiem.
- Skrobnał się Zwyrtała za uchem. Ale tylko raz. Galica był, a Galice wse chłopcy były śmiałe.
- Zagrom.
 - No to pójdze! - powiada anioł z góralska.
 - Przepytyjem tys bars pięknie, cy tys béli moze kie w holak?
- zapytał się Zwyrtała grzecznie.
- Uśmiechnął się anioł.
- Byłem - powiada.
 - Zje kie? Ale prosem wybocyć, co jek telo śmiały.
 - Jak się Polacy z Tatrami bili, w Kościeliskach, do pomocy.

Z niedowierzaniem spojrział Zwyrtała na anioła; młody był - na dwadzieścia lat najwięcej.

Roześmiał się anioł, dorozumiał się o co chodzi.

-Tu się w niebie nie starze - mówi.

Zawstydził się Zwyrtała i odpowiada: - Nieg się nie cudujom. Kazby ta sytkiemu no roz w niebie zrozumiał? Na ziemi nie rozumiés, a dopiero tu!

- No chodź - rzekł mu anioł i poszedł naprzód.

Idzie ulicą, szeroką (ka ta Ludźmirska w mieście ku niej! nic nie stoi), po obu stronach domy srebrne, ka świenci siadajom, aż przyszli przed złoty dom, a przed domem na ganku Pan Bóg. Fajkę pokurzuje.

Pokłonił się Zwyrtała pięknie, kiwnął mu Pan Bóg głową.

A dookoła aniołowie mali, duzi, archaniołowie z złotych zbrojach, święci, święte i ci inni, co w niebie są, chłopy, baby, a bab ćma! Zleciało się to ze syćkich stron na muzykę! Cudecki robiły, tak się jedna przez drugą pchała, te dusze.

- No - ozwał się Pan Bóg - Zwyrtała, graj.

A Zwyrtała znowu się pokłonił Panu Bogu i powiada: Kłaniom się najpokorni Ig Miłości Wielkomoznemu Wszechmogącemu Panu, a cy tyz nie wiedzom, ni ma tu jakik Podhalańców młodyk w tém niebie?

- Po co?

- Bo kie zatońcy to się lepi gro.

Roześmiał się Pan Bóg, dał znak aniołom. Polecieli dwa, ale wrócili z niczym.

- Jest paru, ale starych - melduje jeden.

- To na nic - powiada Zwyrtała. - Kaby ci ta stary tońcé! A kaz som ci młodzi? Bo ta przecie i młodemu się trefi, co umre.

A święty Jerzy powiada:

- W czyścu by ich szukać potrzeba.

- Ej wiera! Terozeście wej panocku dobrze pedzieli! W cyjscu! - powiada Zwyrtała.

- Hań bedom! Bedzie kerdel! Jedyc wiem: Marduła Jasiék, ten, co go zabieł Brzęk spod Łyśyńca, przy Howańcowej Brońci, hań; bél złodziej. Matejów Franek hań - obwiesili g w Mikulasie - cysto pięknie śtyry karcmy na Luptowie zrabował i pozpodpalował, cy tén pote nie bedzie w piekle? Majercyk Pietrzków, co go na wóz z rudom na Skupniowym Upłazie przywałél, strażnie sie rad bijał - e, kieby tén haw prziseł! Nie było nadeń tonecnika na sto wsi dookoła!

Ale Pan Bóg skinął ręką.

- Graj.

- Jakom?

- Zbójeckiego.

- Jak zbójeckiego, to zbójeckiego.

Przykręcił Zwyrtała kołki zębami, dostroił, pociągnął smyczkim, do ostatka wygrał, od

Hej Janicku, serdecko,

kaześ podział piórecko,

cok ci dała?

A jo jehoł do wojny,

upadło mi do wody,

duso moja! -

przez

Hej baca nas, baca nas,

dobryk hłopców na zbój mas! -

aż do

bo hań hamernicy tańcujom! -

Wygrał syćko, do imentu.

Pokiwał głową Pan Bóg, zwidziało się Mu, dopiero święci aniołowie, zbawieni na Nim, e tak wom powiem, to sie juz dość

nakwalić nie mogli tego Zwyrtałowego grania! A on strasznie rad był, jaze mu sie bausy zżyły.

Hej ale co! Pan Bóg poszedł do swego pomieszkania, a tu dopiero święci, święte, janiolowie Zwyrtałe pytać: Graj! graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nie odpowiedział, tylko zaraz na miętusiańską nutę:

*Kie jo se zaśpiwom napośród polany
teloz by mi zagrał w kościele organy!... -*

a wszyscy na to: Ach jak ślicznie! Ach jak pięknie!...

Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nie robi! Idzie święty Józef Panjezusów ociec, bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakomsi dziéwecką duse:

*Dopiro mi béło dwanaście miesięcy
juz chodzili ku mnie hłopycy śpiewający! -*

Słucha święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi męska dusza basem:

*Kiebyś ty dziewczyno nie była rodzina,
jo by tego zabił, kogo byś lubiła!*

Jeszcze się święty Józef nie osatał, co to, a tu, poznał, z trzeciej strony anielskim tenorem, ale to tak z góry, na moc, jaze hucało po niebie:

*Pobij Boze pobij tego owcaricka,
co jego owiecki idom do wirsycka!*

Złapał się święty Józef za głowę! - Kiz to sto dziadów?! - pada.
- Je coz to takiego?!

Leci ku świętemu Piotrowi, a tu, w tym miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabriel po środku z pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na

krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męskie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

*Póđmy jus du domu - nocka ciemna,
oby nam nie béła nadaremna,
węgierska ślachta - piniązki mo,
my świarne hłopoki, to nom ik do!...*

- Chryste Jezu Panie! - krzyknął święty Józef i do świętego Piotra jeszcze warcej poniósł: Co się robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabriel i powiada, że nie chce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góralsku. Nawet święta Cecylijo.

- Zwyrtała ich uczy - powiada - cud sie robi! Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc: słuchają stąd i stąd idą góralskie nuty, całe niebo jaz giełcy!

Na rano powiada święty Pieter do archanioła Gabriela: Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

- A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą niesie: pokłonił się.

- Zwyrtała! - powiada święty Piotr. - Nie poszedłbyś ty gdzie indziej?

- Z haw stela?

- Tak.

- Z nieba?

- Aha!

- Ze ka?

- Ka? - powtórzył święty Piotr. 3 Toteż to...

I zamyślił się.

- A bez co tak? - pyta się Zwyrtała. - Déj mie haw po śmierci posłali.

- Toteż to właśnie...
 - Nie krodek, nie zbijał, nie biął się -
 - Wiem, wiem!
 - No to co?
 - Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkądeś ty tu!
 - Ej To to to?
 - Zwyrtała! - powiada święty Pieter (zatrzymał się). - Hm -
 z nieba no to gdzie?

A Zwyrtała pomilczał trochę, skrobął się za uchem i mówi:
 E, prosem Ig Miłości, o to niek Ig głowa nie boli! Na mnie to ta
 hojco przystanie! Idem!

- Dokąd?
 - Je skondek prziseł.
 - Na ziemię?
 - Ze ba haj.
 - A ja cię myślałem na jakąś gwiazdę dać -
 - Nie pytom! Nijakik gwiazdów nie trza sukać! Idem hań dołu.
 - Z nieba?
 - E, moi ślicni piękni, jo i tam niebo nojdem! Beem se chodził
 po lasak, po dolinak grający. Beem strzóg, coby starodawne nuty
 nie wymarły. Siednie hłopok z gęslami przy owcak - zagrom mu
 cichučko za turnie. Zaśpiéwo dziewce za krowami w upłazie -
 pomogem jój. Pudom starzy gazdowie w las, drzewo ścinać,
 zabrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.

A nie bedzie nikogo, to bedzie woda po potokak, bedom stawy
 zamarznione, ka wiater gwizdo lodami, bedzie las, mnie sie hań
 nie ukotwi ani za niebe nie zacnie. Jo kiek zół, tok teraz Pana
 Boga pytał, coby mi po śmierci jino wiecznie w holak ostać
 pozwolél. Jo o inkse niebo nie stojem anibyć gór na inacy, hojby
 mi siedem niebów dawali, nie mieniał!

- No to, Zwyrtała, idź bobyś nam tu całe niebo zgóralszczył!
 A nie będziesz se krzywdował?

A Zwyrtała aż skrzypce ze smyczkiem ku głowie podniósł!
 - Mnie hań niebo, ka i serce! - powiada.

I pokłonił się pięknie, i wyszedł za niebieską bramę na
 gościniec ku Ziemi - noc była. Mleczną Drogą na dół szedł,
 skrzypce pod pachą niesący, a kiedy się już na ślebobdzie uczuł,
 krzyknął: Hu ha! - i z góry w nutę uderzył:

*Górol ja se górol spopod samyk Tater!
 Descyk mnie odkompał, odkołyśał wiater!
 Krzywaniu, Krzywaniu, coś ty tak osowiał?
 Cy cie śnieg prziprósól, cy cie wietrzyk owiał?
 Hej kozicki, kozicki, wtoredyś hadzajom?
 W Dolinie Piorzystej tam one bywajom!
 Janicku, Janicku, sto hromów ku tobie,
 po całej dziedzinie idzie hyr o tobie!
 Nie wstycie sie, ludzie, macie zbója w rodzie,
 zbójnik pudzie w niebo na samiucim przodzie!...*

I szedł dalej Zwyrtała śpiewający Drogą Mleczną w dół, aż
 zeszedł ku szczytom na skalne perci i wstąpił w głębinę Tatr.

